

Tornado 8

Chyba sobie wykrakałam z tymi alimentami, bowiem z kolejnej ucieczki Tornado, o dziwo, samodzielnie powrócił do domu, ale – tu jeszcze większe dziwo – nie wrócił sam. Wraz z mężem przecieraliśmy oczy ze zdumienia na widok uroczej, beżowej suczki, której krągłości zdradzały ewidentne objawy zaawansowanej ciąży. Biedaczka zziajana z przejęcia, łapczywie rzuciła się do miski z wodą, a ja w duchu zmówiłam błagalną modlitwę, by sobie poszła. Ja rozumiem, że właściciel psa ponosi odpowiedzialność za działania swego pupila. Że ma obowiązek, że to, że pstro..., ale skąd ja mam wiedzieć, czy to właśnie Tornado jest sprawcą suczej ciąży? Z drugiej strony, żal mi się zrobiło biednego suczydła. Przecież bidulki nie wyrzucę, bo tak się nie godzi, ale jeśli to nie jego dzieci, to co? No kaplica.

W oczekiwaniu na rozwój wydarzeń atmosfera w domu zgęstniała. Do tego doszedł jeszcze kot Frykas z permanentnym fochem, że przygarnęliśmy psa i sierściuch stracił wyłączność. I teraz jeszcze suka. A jeśli to istotnie tornadowe dzieci? To co? A jak się zakochał w ciężarnej i jest gotów adoptować cudze? Mamy złamać mu serce?

Cóż, zrobiło się nerwowo. Na szczęście, po godzinie suka sobie poszła, a my odetchnęliśmy z ulgą, że przyszła tylko na picie, a nas właśnie ominęła adopcja beżowej suni wraz z potencjalnym miotem nie wiadomo czyich szczeniąt.

Przez moment powiało grozą, ale wreszcie udało się doprowadzić na zabieg zdrowego psa i po kastracji, z nadzieją spojrzeliśmy w przyszłość, pewni że nasze życie znów wskoczy na normalne, względnie proste tory. W końcu jestem za młoda, żeby zostać babcią. Nawet psią.

Minął może tydzień od zabiegu, jak Tornado czmychnął córce

przez uchyloną furtkę i tyle go widzieli. Znow ładowanie telefonu i czekanie, aż ktoś zadzwoni. Standard. Zaczęłam się przyzwyczajać. Jest!

– Dzień dobry. Pani pies jedzie ze mną tramwajem. Jest bardzo zdenerwowany. Jedziemy w stronę Dworca Głównego PKP.

Tym razem to mąż wskoczył w samochód i tym razem to on złamał wszystkie przepisy, żeby dogonić tramwaj i przejąć psa jeszcze przed dworcem, co w godzinach szczytu nie było wyzwaniem łatwym.

– Cholera by go wzięła- wysapał po powrocie wkurzony mąż.- Wcale się nie zdziwię, jak to bydlę następnym razem pojedzie na lotnisko!

– Słuchaj, a może na jego identyfikatorze, przed numerem telefonu dodamy +48?- zaproponowałam prawie pewna, że pewnego dnia, czekając na telefon od znalazcy usłyszę: *Dobry den, neli zahynout pani psa?* Albo *Buenos días, me encontré con un perro.* Ewentualnie coś w suahili. Wniosek przeszedł jednogłośnie, zatem niezwłocznie zamówiłam nowy identyfikator. Jak widać szwędacz u naszego psa wcale nie był wynikiem miłosnych ciągot i to coś, na co tak bardzo liczyliśmy, właśnie przeszło nam koło nosa. Stało się jasne, że on tak już ma i tak mu zostanie. Wprawdzie weterynarz próbował nas pocieszyć, że pies nawet i kilka tygodni po zabiegu może jeszcze czuć wolę bożą oraz zapewnił nas, że obciął wszystko co trzeba, ale my i tak już wiedzieliśmy swoje. Dlatego też wcale nie zdziwił nas późniejszy telefon z zajezdni MPK. Dyspozytor oznajmił, że pies objechał autobusem pół Krakowa i wraz z kierowcą, na koniec zmiany, odmeldował się w zajezdni. Cóż było robić. Należało znow pojechać po psa. Całe szczęście blisko. U dyspozytora trzeba było wyasygnować kwotę na zwyczajowe pół litra, ale czegoż człowiek nie zrobi dla szczęśliwie odnalezionego pupila. Nie było innego wyjścia, tylko jeszcze bardziej zabezpieczyć ogrodzenie. Już byliśmy pewni, że mysz się nie prześlizgnie, a już tym bardziej pies,

ale nasz Tornado ma wybitne zdolności. Raz wyszedł przez drzwi klapką dla kota, którą nie miał prawa wyjść, bo jest do tej klapki za duży. Ale wyszedł. Fakt, razem z całą klapką. Ale jakim cudem? Żebra ma z gumy, czy jak? A może on rzeczywiście z jakiegoś cyrku zwiął, a tam robił coś takiego jak człowiek-guma? Cóż począć, na wszelki wypadek kupiłam większą klapkę..., a moje dłonie w ostatniej chwili zastygły nad klawiaturą zanim kliknęłam na allegro w aukcję z drutem kolczastym.

Tornado 7

Wielki dzień

Po pierwszych tygodniach udręki uznaliśmy wreszcie, że to już chyba kres wystawiania naszych nerwów na szwank, ale Tornado najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie. Pomimo maksymalnego zabezpieczenia ogrodu, kilka razy zdołał niepostrzeżenie oddalić się w niewiadomym kierunku. Na szczęście, po dziś dzień, każdy od razu nabiera się na to jego pocziwe ryło oraz spojrzenie cielaka, zatem z tych wycieczek dość szybko wracał do domu. Za każdym razem cieszył się jak głupi, a później strzelał popisową minę niewiniątka. Pomału zaczęliśmy bilansować wydatki. Już kilkakrotnie wypłaciliśmy nagrody znalazcom, w markecie budowlanym też już zostawiliśmy swoje, o weterynarzu nawet nie wspominam.

Nie ma siły. Jak widać nie można zostawić go samego w ogrodzie, więc doszło mi jeszcze więcej spacerów lub towarzyszenie gadowi przy domu. Po konsultacji z weterynarzem

stało się jasne, że jak tylko Tornado zaliczy rekonwalescencję po antybiotykach, to od razu ciachniemy mu jajka. Termin nie był odległy, zatem zacisnęłam zęby i znów przez 24 godziny na dobę pilnowałam psa, żeby nie nawiał. Przed pierwszym terminem, Tornado, chwycił nawrót anginy, przed drugim zwiął na godzinę przed. W jaki sposób? Nawet nie pytajcie, bo nie wiem. Dziś z perspektywy oceniam, że po prostu przeskoczył przez ogrodzenie, choć nie wiem, jakim cudem może to uczynić pieseczek sięgający mi do kolan, gdy nie założę szpilek. Ale cóż, co ja tam wiem. 😊

Przez kilka kolejnych tygodni uczciwie pilnowałam psa, żeby nie poleciał na dziewczyny oraz pilnowałam siebie, żeby od tego pilnowania nie zwariować. Wierzcie, łatwo nie było, a ja, niczym poborowy odcinałam dni na centymetrze, aż wreszcie nadeszła upragniona data obcięcia rodzinnych klejnotów.

Uff. To już nazajutrz. Tyle jeszcze wytrzymam. W klinice chyba nie da nogi. Przecież jak go uspią to im ze stołu nie ucieknie. Uff! Co za ulga...

W przeddzień wielkiego dnia nastał wieczór i nadeszła chwila, w której na ulubionym forum zaczynał się ruch, więc korzystając z tego, że dzieci oglądają dobranockę zainstalowałam się na tarasie. Cudowny zachód słońca, pies pode mną, a laptop przede mną. Właśnie rozgrzewałam łapki do klikania, jak dziatki me odmeldowały koniec seansu i czas wieczornych ablucji, więc ruszyłam do łazienki pomóc w suszeniu włosów. Nie było mnie może kwadrans. Na forum rozgorzała już burzliwa dyskusja na jakiś zajmujący temat, zatem uwinęłam się najszybciej jak mogłam. Zadowolona zasiadłam do laptopa. Nagle coś mnie tknęło i spojrzałam w dół, pod ławkę.

GDZIE jest PIES?!

To niemożliwe... Przecież spał jak suseł, kiedy wychodziłam. Bariereki dość gęste i wysokie na półtora metra, dodatkowo

taras na wysokości pierwszego piętra... Na serio, niemożliwe...

Zwątpiłam we własne zmysły. Dla pewności szczypiąc się w udo, by się utwierdzić, że na serio nie śnię, z pięć razy zajrzałam pod ławkę. Pusto, i nie chce być inaczej. Tornado właśnie wyparował do atmosfery. Jasny gwint! Żołądek podjechał mi do gardła. Cóż było robić. Sprawdziłam baterię w komórce i zasiadłam w oczekiwaniu na telefon od kogoś z moim ukochanym ostatnimi czasy tekstem: „Dzień dobry! Czy przypadkiem nie zginął pani piesek?!”.

Dwie godziny w nerwach. Jest!

– Dobry wieczór, bo wie pani, ja właśnie jadę pekaesem do Limanowej i pani pies też jedzie – zaszcebiotał dziewczęcy głosik.

– Że co?- zbaraniałam.

– No, piesek jedzie ze mną, ale wie pani, ja za kilka przystanków wysiadam i nie wiem, co dalej.

– Który przystanek?!!!

Jakby mnie tak wtedy policja zdybała to już chyba na trzecim skrzyżowaniu pozbawiłaby mnie uprawnień do kierowania pojazdem. Dobrze, że pekaes zatrzymuje się na przystankach, bo nieco zyskałam na czasie. Tornado ucieszył się, jakby mnie rok nie widział. Wrr... Capnęłam go za wszarz i z odpowiednim komentarzem wpakowałam do auta. Lżejsza o kolejne pięć dych znaleźnego, zgodnie z przepisami ruchu drogowego, wróciłam do domu. Wybiła dwudziesta trzecia i na forum już wszyscy poszli spać, więc nie pozostało mi nic innego jak przeczytać, co tam napisali, gdy mnie nie było i też iść spać. W końcu nazajutrz wielki dzień. 😊

Rankiem, na wszelki wypadek, zapakowałam psa w szelki dla tygrysa, żeby mi nie czmychnął gdzieś po drodze i jako że weterynarz urzęduje kilka domów dalej, piechotką ruszyliśmy na

zabieg.

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby iść wtedy piechotą. Przecież zawsze jeżdżę autem, ale tego dnia akurat musiałam iść (!). Że też diabli nadali... ech! Dziesięć metrów przed kliniką mój pies przystanął za potrzebą.

– O! Witam pani Izabelo! – zagrzemiał chwilę później weterynarz. – Ciachamy?

– Ciachamy, a przy biegunce można? – zapytałam z nadzieją, że jednak można.

– Mowy nie ma! Najwcześniej dwa tygodnie po ustaniu objawów.

– Błagam..., wczoraj wszystko było w porządku...

– Absolutnie!

– Ale wie pan, że ja tego już dłużej nie wytrzymam? On wczoraj przeskoczył przez barierki na tarasie, zjechał na dół po dachu, potem zeskoczył z garażu, wsiadł do autobusu i pojechał do Limanowej! Błagam...

– Ależ proszę pani! – oburzył się weterynarz. – Przecież on nie może tak sobie zeskakiwać z tarasu i zjeżdżać po dachu, bo jeszcze sobie łapy połamie! No, co też pani?! – doktor od psów ochrzanił mnie centralnie.

– No to może pan mu to skutecznie wytłumaczy, bo ja nie umiem. W końcu to pan, jest fachowcem od zwierząt.

– Dwa tygodnie.

Zabrzmiało niczym dożywocie, a ja, bliska łez, wróciłam do domu niczym zbity pies, pewna że w najbliższym czasie nasz domowy budżet skurczy się jeszcze o alimenty.

Tornado 6

Cóż, muszę przyznać, że skończyły mi się pomysły i na koniec dnia pies pokonał mnie swoją żelazną konsekwencją i sprytem. Definitywnie zrezygnowaliśmy z umieszczenia go przy budzie, a zresztą i tak pewnie po jednym dniu bym zmiękła, zatem jakoś przełknęłam tę sromotną porażkę.

Skoro plany z budą okazały się fikcją, trzeba było wdrożyć plan B. Czyli regularne spacerory oraz docelowo, pobyty psa w ogrodzie. Jeszcze raz dokładnie sprawdziłam szczelność ogrodzenia, mąż przymocował obłuzowaną sztachtetę i nasze życie pomału zaczęło wracać do normy. Dzieci zaaklimatyzowały się w szkole i dumnie puszyły się przed całą klasą, że ze szkoły odbiera je mama z psem. Tornado swoim cielęcym spojrzeniem i poczciwym pyszczyskiem na wejściu obłaskawił srogą panią woźną, i jako jedyny czworonóg w historii owej szkolnej placówki mógł swobodnie wchodzić nawet do szatni, a pani dyrektor powitała nas słowami „Ojej, jaki śliczny piesek!” Obkoczony przez rzeszę dzieciaków, szczęśliwy wdzięczył się jak gwiazdor na scenie i z dnia na dzień zyskał sobie rzeszę popleczników, którzy za nic w świecie nie chcieli mi uwierzyć jaki z niego cwany numer.

Jako że, w końcu otrzymał identyfikator z numerem mojego telefonu, choć właściwie to nie wiem po co, bo większość mieszkańców dzielnicy, po ostatniej akcji zna mój numer na pamięć, poza spacerami, mógł wreszcie zaznać nieco swobody w ogrodzie. Ja również, ponieważ Tornado upatrzył sobie we mnie swoją opokę i zaczął chodzić ze mną nawet do toalety. Nie odstępował mnie na krok, a mnie pomału zaczęły dopadać pierwsze oznaki manii prześladowczej. Po kilku dniach moja psychika siadła. Poczułam się śledzona, osaczona i

inwigilowana przez psa, który skutecznie wtargnął w moją życiową przestrzeń ograniczając mi tlen i swobodę funkcjonowania. Na szczęście wyzdrowiał, zaliczył już większość szczepień i można było pomyśleć o kastracji, ale cóż, musiało jeszcze minąć kilka tygodni kwarantanny.

Pewna, że Tornado już się do nas przyzwyczał, wypuściłam psa do ogrodu a sama zasiadłam z komputerem na tarasie, żeby w końcu trochę popracować. Minęło może pięć minut, jak doszło mnie szczekanie psa. Tylko niech mi kto powie, jakim cudem ten gad znalazł się w ogrodzie sąsiada? No jasne. Kompostownik. Pies sobie wskoczył, później przez siatkę i sruu... do sąsiadów. No pięknie. I co dalej? No jak to, co? Zagnałam psa z powrotem do domu i przystąpiłam do akcji przeniesienia kompostownika w jakieś miejsce bardziej oddalone od ogrodzenia. Ale to nie takie proste, bo do tego potrzeba było przynajmniej Goliata, by ruszył toto z miejsca, więc zmobilizowałam męża do pomocy. Kompostownik ani drgnął, więc nie było innego wyjścia jak podwyższyć w tamtym miejscu ogrodzenie. Klasyka. Castorama i do dzieła. Do wieczora parkan został skutecznie podwyższony. Nie ma siły, żeby go przeskoczyć choćby i o tyczce, więc pies, po raz kolejny tego dnia, wylądował na próbę w ogrodzie. Tę próbę zaliczył pozytywnie.

W międzyczasie przyszli do nas znajomi, Tornado zaprezentował się jak urodzony showman, a oni na wieść o jego wyczynach spojrzeli na mnie jak na wariatkę. Że co? Niemożliwe, taki słodziutki, malutki piesio? Przesadzasz, kobieto, przesadzasz...

No tak. Nie sądziłam, że kiedyś dojdzie do tego, że ludzie przestaną wierzyć nam, tylko psu, ale Tornado właśnie wyraził chęć wyjścia na zewnątrz po raz kolejny. Oczywiście cały czas czujnie nadstawialiśmy ucha, czy aby nie szturmuje świeżo zamontowanych paneli przy kompoście, ale na szczęście nic takiego się nie stało. Nareszcie odetchnęliśmy z ulgą.

Tak, do chwili, gdy kolega nie wyszedł do ogrodu na papierosa.

– Słuchajcie? A dlaczego wasz pies biega u sąsiadów?

No tak, śmietnik. Tu na szczęście nie trzeba było już żadnych akcji specjalnych i dodatkowych wydatków. Wystarczyło tylko odsunąć kubeł na śmieci od płotu. Najpierw odsunęliśmy o metr. Po chwili namysłu, o dwa. Po czym spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo i na wszelki wypadek schowaliśmy trampolinę do garażu.

Znajomi chyba w końcu uwierzyli 😊

Dzień z życia konsultantki

O tym, że kontakty z klientami mogą doprowadzić na skraj załamania nerwowego, wiedzą doskonale nieszczęśliwi, niespełnieni pisarze wykonujący okresowo niewdzięczną pracę konsultanta. Wasza niżej podpisana miała zaszczyt zażyć tej przyjemności, a jedynym plusem chwilowego uprawiania owej profesji, była możliwość zebrania obszernego materiału dowodowego, który właśnie teraz ujrzy światło dzienne.

Mawiają, że żadna praca nie hańbi. Nie dodają jednak, że pewne zajęcia zarobkowe mogą trwale (lub czasowo) odmóżdżyć biednego wyrobnika, powodować zaburzenia postrzegania rzeczywistości i permanentny (bądź okresowy), niekontrolowany wyciek śliny spomiędzy zaciskanych zbyt długo szczęk. I myli się ten, który sądzi, że owo zaciskanie to efekt ciągłego zdenerwowania.

Biedny konsultant od rana do wieczora zaciska zęby, żeby nie wybuchnąć kolejnemu rozmówcy śmiechem w słuchawkę, bądź nie zapluć służbowej klawiatury podczas czytania wiadomości od klientów. Obrazu zła niech dopełni rodzaj sprzedawanego produktu, wokół którego cała ta otoczka konsultacyjna się

odbywa. Jeśli celem pracy jest sprzedaż kobietom butów to można powiedzieć, że biedny konsultant dostał się do wewnętrznego kręgu piekła.

Kobieta, czyli narzędzie szatana, jest istotą pogmatwaną wewnątrznie. Świat zna wiele rodzajów kobiet: są matki Polki, są erudytki, feministki, sportswomenki, kobiety młode, dojrzałe i całkiem małe kobietki. Różnią się między sobą jak okazy tropikalnej fauny, ale łączy je jedno.

Niezależnie od miejsca zamieszkania, długości i szerokości geograficznej oraz stref klimatycznych baby dostają kompletnego fioła, gdy mowa o butach. Buty są w stanie zmienić najłagodniejszą białoogłową w wężącego psa myśliwskiego. Buty to przedmiot pożądania, w obliczu którego więdną racjonalne myślenie, a mózg zamienia się w gigantyczną stopę. Za to reszta kobiety staje się pantofelkiem. I nie o zacy model obuwia chodzi. Baby w kontakcie z butami zwyczajnie głupieją.

Uczyniwszy ten dramatyczny wstęp muszę jeszcze dodać naprędce, że Wasza niżej podpisana na stanowisko konsultanta ds. obuwia trafiła przypadkowo, a jej fachowa wiedza ograniczała się jedynie do znajomości książki „Historia żółtej ciżemki”. Jak się szybko okazało – nie to jest jednak problemem, bowiem nawet studia tematyczne nie przygotowują biednego adepta wiedzy okołobuwniczej do spotkania z NIA.

Zwykle zaczyna się niewinnie:

- Dzień dobry! – w słuchawce rozlega się promienny głosik.
- Dzień dobry! – odwdzięcza się uprzejmie konsultantka.
- Ja chciałabym kupić takie szpilki czarne lakierowane w rozmiarze 39.
- Niestety, z tego modelu 39 już nie będzie, ale mamy inne szpilki, bardzo podobne...
- ALE JA CHCĘ TAMTE! – rozlega się ryk w słuchawce.

- Niestety, bardzo mi przykro, ale już nie posiadamy tych butów na stanie – powtarza cierpliwie konsultantka.
- To sprowadźcie! – żąda ONA tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- Przykro mi, ale nie ma takiej możliwości, to jest kolekcja z zeszłego roku.
- ALE JA POTRZEBUJĘ! NA WESELE/CHRZCINY/POGRZEB*

(*niepotrzebne skreślić)

W tym miejscu doświadczona konsultantka milknie. Na takie dictum nie sposób znaleźć odpowiedzi. Próba zgadywania, jaki stosunek osobisty ma klientka do informacji, że dany model butów nie jest już produkowany jest co najmniej ryzykowna i – jeśli chcecie znać moje zdanie – raczej skazana na niepowodzenie.

Odpada też uprzejme pytanie: „A kto się żeni/co się urodziło/kto umarł?*

(*niepotrzebne skreślić)

Konsultantka milczy więc. Na łączach zapada zwodnicza cisza.

- Jest tam pani? – szepcze złowieszczo ONA.
- Tak, oczywiście – odpowiada konsultantka.

ONA doskonale wie, że konsultantowi nie wypada się rozłączyć pierwszemu i swoją wiedzę wykorzystuje, w zależności od stopnia pomysłowości. Czasem krzyczy, czasem powtarza w nieskończoność te same pytania albo rzuca złośliwie:

- Jak pani mi nie chce pomóc, to ja specjalnie się nie rozłączę i nie dam pani pracować! 0!

Faktycznie, rozłączyć się nie wypada, ale ktoś powiedział, że słuchawkę należy mieć przy uchu cały czas? ONA słucha więc melodyjnego stukania w klawiaturę płacąc za każdą minutę kwotę

zależną od taryfy swojego operatora. Rekordzistki poddają się maksymalnie po dwóch minutach.

– Halo? Słyszysz mnie pani? – kapitułuje ONA.

– Oczywiście – odpowiada konsultantka.

W tym miejscu, ponieważ temat właściwie został wyczerpany, ONA rzuca pożegnalną groźbę i się rozłącza.

Mój własny ranking na groźbę miesiąca opierał się na punktacji w skali 1-10, gdzie jeden punkt przyznaje się ONYM, które są prawniczkami i nam pokażą (każda ONA to prawniczka, gdy zachodzi potrzeba). Dwa punkty można zdobyć za posiadanie męża prawnika albo wuja sędziego, którzy nam pokażą. To przecież wymaga pewnej wyobraźni i trzeba to koniecznie docenić.

Pięć i więcej punktów przyznaję tylko tym ONYM, które precyzują, co nam pokażą. To już przecież wyższa szkoła jazdy. ONE „pokazują” różne rzeczy. Niektóre pewnie języki, ale tego przez telefon naturalnie stwierdzić się nie da. Pięć lub sześć punktów należy się więc za pokazywanie wyższości. Tu na szczególne oklaski zasługują ONE mianujące konsultantkę życiowym nieudacznikiem i wyjątkowo podłym człowiekiem.

Siedem i osiem punktów można zdobyć za jednoczesne spełnienie powyższych kryteriów: *„Ja Panią tak załatwię, że nigdzie Pani pracy w zawodzie nie znajdzie, zresztą wielki mi zawód! Pani nie wie, kim ja jestem! Mój mąż jest prawnikiem!”*

Na dziewiątkę zasługują te ONE, które dodatkowo ślą maile podobnej treści.

Dziesięć punktów to już najwyższa szkoła jazdy. Zdobyć je może tylko ta ONA, która sprawi, że konsultantowi opadnie szczęka na klawiaturę. Spadnie na dodatek tak celnie, że wystuka napis „aleocochodzi?”.

W niezbyt długiej konsultanckiej karierze niżej podpisanej trafiła się tylko jedna dziesiątka. Działo się to w okresie

wyprzedaży. Już samo słowo niesie w sobie niebezpieczny potencjał, a gdy dorzucimy magiczne minus 50%, to z ONYCH wychodzą diabły. Mój osobisty diabeł za żadne skarby nie chciał przyjąć do wiadomości, że jej upatrzone buty za pół ceny zostały wyprzedane. I w tym miejscu popełniłam brzemienny w skutkach błąd.

– Przykro mi niezmiernie, ale ostatnia para właśnie wczoraj została wysłana do Wrocławia – wyjaśniłam uprzejmie, chcąc zobrazować klientce sytuację.

Całe życie myślałam, że plastyczne szczegóły sprawiają, że tłumaczenie staje się jeszcze bardziej wiarygodne. Otóż w czasie wyprzedaży tak to nie działa.

– To proszę wysłać kuriera do Wrocławia!

Na takie rozwiązanie nie mogłam się rzecz jasna zgodzić a oczami wyobraźni ujrzałam klientkę z Wrocławia tulącą buty do piersi i kuriera, próbującego jej je wydrzeć z rąk.

– Nie? – zasyczała w słuchawkę ONA.

– Przykro mi, ale nie ma takiej możliwości – potwierdziłam.

– Pani chyba sobie nie zdaje sprawy z tego, co mi pani robi! – wrzasnęła. – Przez tydzień mnie będzie głowa bolała i mąż na tym ucierpi. I ja mu powiem, czyja to wina! Czy pani wie, co to oznacza?

Nie wiedziałam. Pierwszy raz w życiu nieprofesjonalnie rzuciłam słuchawką. A przez następny tydzień wracając z pracy do domu przyglądałam się bojaźliwie mijanym krzakom. Kto wie? Może mąż klientki będzie chciał dochodzić swoich praw?

Centrum kontroli lotów

Uwaga! Uwaga! Tu centrum kontroli lotów! Kuchenka, pralka, lodówka, zmywarka, laptop. Wszystko to lata nisko i szybko, więc muszę być czujna jak ważka, żeby pomiędzy westchnieniem bohaterki i jej niekontrolowanym szlochom odpowiednio zmniejszyć moc palnika pod zupą, żeby nie wykipiała i w czasie gdy ona (bohaterka, nie zupa) jedzie po zakupy, zdążyć sprawnie opanierować kotlety, zanim kot się rozwali czarnym tyłkiem na klawiaturze i przypadkiem uruchomi tę dziwną funkcję, która robi ekran w poprzek.

Tak, tak ... właśnie. Tak wygląda moja praca. To nic innego, jak ekstremalna praca w ciężkich warunkach i w dodatku szkodliwych dla zdrowia. A to się krzywo przycupnie, kiedy dzieci zakuwają geografie, ale nie, nie na długo, bo murowane, że za pięć minut przyjdą zapytać co to są gołoborza albo jakiś inny gnomon. Albo ile razy X musi być podniesione do potęgi N , żeby wyszło $3/4Y$ minus 5. W międzyczasie odbieram dwa telefony, bo oczywiście komórka i domowy zawsze muszą dzwonić jednocześnie.

A kręgosłup chwilowo przycupnięty skręca się w skoliozie i w tej mikrej chwili spokoju rzucam splekaną białoogłową w rozpostarte ramiona jurnego kochanka. Akcja! Akcja! Ale nieee!

Miauuu! Kot właśnie narobił do kuwety i chce mu się drugi raz ale drugi raz do tej samej zasr..., ekhm, tego kuwety nie narobi, bo nie lubi, więc się drze, jakby go ktoś ze skóry obdzierał. Posprzątać trzeba. Ech, cholera, esteta się znalazł. Jakoś nie przeszkadzają mu obgryzione skrzydłokwiaty i ziemia wygarnięta łapą z doniczek, że o głębokim podkopie

pod fikusem nie wspomnę. A i wody rozchłapanej wokół miski to też posprzątać nie ma komu. Siedzi taki czarny sierściuch i z nudów rozchlapuje wodę.

A po co? Jak to po co? Żeby sobie zrobić w kuchni odpowiedni poślizg. Najpierw szkodnik sprawdza, czy odpowiednio dużo tej wody naciapał, potem się w tej kałuży rozpędza w miejscu, by na koniec na mokrych łapach wziąć wiraż na zakręcie do salonu i efektownie z impetem wycedzić w ściankę działową pomiędzy klatką schodową a wucetem. Dobrze że jeszcze żyje i nie ma wstrząsu mózgu. A koty to miewają wstrząs mózgu? Nie mam czasu sprawdzić, bo właśnie przyszedł kurier i pies przy furtce szczeka jak wściekły. Gaszę zupę. W biegu łapię dzwoniącą komórkę i lecę po paczkę. Po drodze tłumaczę, że nie chcę kolejnego kredytu tudzież konta w banku i w międzyczasie wpadam w piwnicy w kałużę psich sików. W ostatniej chwili łapię się ściany. Uf, dobrze, że jeszcze mam wszystkie zęby, a ten kurier się mnie pyta, co tak długo nie otwieram i czy mnie przypadkiem nie obudził (sic!). Nie komentuję, tylko wracam i po drodze sprzątam piwnicę. W końcu na paluszkach podchodzę do kompa. A tu czajnik jak nie zacznie gwizdać, bo w czasie mojej nieobecności me dziatki zapragnęły pogadać ze mną przy herbatce.

A oni tam dalej w tym łóżku, a ja już zapomniałam, co robili, więc znowu przysiadam krańcem prawego półdupka i czytam, czy ona już przypadkiem nie w ciąży, ale nie. Uff... Szczęśliwie do nich też przyszedł kurier i zapytał, „co tak długo?” 😊

Tornado 2

Chrzcziny

Niedziela. Koniec sierpnia. Za kilka dni rozpoczęcie pierwszego dla moich dzieci roku szkolnego. Dojeżdżamy do domu. Z psem. Tylko jak tu wziąć do domu psa, który jest brudny jak święta ziemia, ma na sobie rekordową ilość pcheł i cały czas się czochra?

No to ja gazem do weterynarza, po coś na pchły. Na miejscu jedynie lekarz dyżurny i sklepik zamknięty na głucho a na dokładkę dyżurująca pani weterynarz prezentująca postawę nieugiętą. Nie mając wyjścia nastraszyłam dyżurującą niewiastę wizją dzieci z tasiemcem, glistami oraz inną dżumą i powiedziałam, że to będzie jej wina (sic!). W końcu uległa i sprzedała mi poza kasą psikadło na pchły i pastylkę na robaki.

No i zaczęły się jaja. Zanim trafił do wanny, pies po pierwszej aplikacji psikadła zaczął skakać na wysokość półtora metra. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby taki mały pies (na oko, jakieś dziesięć kilo psa) skakał tak wysoko. Pchły dostały bzika. Pies też. W końcu te małe cholery poległy w konfrontacji z frontline'm i można było wpuścić psa do domu. Tutaj nieoczekiwanie nastąpił zgrzyt, bowiem kot Frykas zareagował pełną obrazą majestatu i oddalił się w niewiadomym kierunku a pies (na szczęście już po kąpieli) bez pytania rozgościł się na kanapie przed telewizorem. O nie! Niedoczekanie! Sio pod stół! Do budy!

Mąż właśnie wrócił ze sklepu z miskami i karmą dla psa, a ja biegiem na allegro kupować budę do ogrodu. W końcu pies usnął, to ja po aparat, żeby mu jakąś fotkę strzelić. Ale nie, bez szans. Psi ogon żył chyba własnym życiem, bo nawet we śnie tak szybko latał, że wszystkie zdjęcia wyszły mi zamazane. I tym oto sposobem nasz pies zyskał swoje pierwsze imię, czyli

Wiatrak i nareszcie można go było przedstawić sąsiadom. Wiatrak spisał się na medal i pokazał się z jak najlepszej strony. Oczywiście gad jeden w pięć minut zyskał sobie sympatię, a sąsiedzi zaproponowali, że tego psa trzeba jakoś oblać- w sensie uczcić- i tak w dzień przyjazdu zmontowała się radosna sąsiedzka imprezka z okazji przybycia czworonoga oraz jego chrzcin.

Było miło, Wiatrak wykazał się talentem showmana i wdziękzył się jak w cyrku ale niestety nie wszystko poszło gładko, bo około północy sąsiad poddał w wątpliwość, czy to imię aby odpowiednie. No i kaplica. Mąż po przemyśleniu tematu stwierdził, że nie będzie chodził wokół domu i jak kretyn wołał: „Wiatrak! Wiatrak! Do nogi! Frykas! Do domu! Kici kici! Wiatrak!”

cdn



Tornado 1

Witajcie kochani czytelnicy!

Przedstawiamy Wam nową serię opisującą losy pewnego psa o wdzięcznym imieniu Tornado. Iza opowie Wam całą historię tego, zdecydowanie niezwykłego, domownika □

Na wakacjach przyplątał się piesek. Z oczu patrzyło mu dobrze, więc od razu się załapał na kawałek kiełbasy. Chlebem wzgardził. Plątało się to miłe stworzenie przez kilka dni, aż wakacje dobiegły końca.

W międzyczasie zauważyłam, że dzieci z okolicznej kolonii były uprzejme kilka razy podnieść go do góry za ogon, i ich nie

zjadł. Znaczący poczyty. A że mu dobrze z oczu patrzyło to w końcu, w zieloną noc zapadła decyzja, że bierzemy psa, bo ktoś musi. Nadleśnictwo po każdym sezonie organizuje odstrzał bezpańskich zwierząt, zatem nie mogliśmy pozwolić, by ktoś zastrzelił nam zwierzaka.

Mój mąż, który nigdy nie miał psa, od razu poczuł się panem i gestem właściciela usadził sobie swojego nowego czworonoga na kolanach. To nic, że pies składał się głównie z koszmarnie brudnych kłaków przypominających szczecinę na dzikiej świni oraz pcheł. Mąż długo głaskał go i przemawiał doń czule. Obiecał mu nawet, że nauczy go jeździć na snowboardzie. W końcu ścierpł i rozczarowane psisko wylądowało na ziemi. Hmm... A jak zwieje? Przecież już jest nasz... Ale dla chcącego nie ma nic trudnego. Nawet o północy. Załatwiłam u dyżurnego stajennego starą lonżę do nauki jazdy konnej, z kolei mąż udał się do baru i wrócił z pustą skrzynką po tyskim, do której uwiązał psa. Niezapomniany widok. Oczami wyobraźni zobaczyłam gnającego psa i podskakującą za nim skrzynkę po piwie uwiązaną na lonży 😊

Cóż, w końcu trzeba było położyć się spać. Niestety wszystkie drzwi w naszym domku miały niesprawne klamki, a pies ani myślał spać w przedpokoju. Przed świtem obudził mnie rozpaczliwy krzyk dziecka:

„Mamusiu! Dlaczego wpuściłaś nam do łóżka dzikie zwierzę!!!”

„Śpij! To nasz pies!” – powiedziałam i zapanował spokój, dopóki o ósmej nie wywiązała się awantura, kto ma wyjść z psem na spacer.

Już wtedy rozdzwonił się w mojej głowie dzwonek alarmowy.

Pomijając fakt, że często wyjeżdżamy i nie będzie w tym czasie co zrobić z psem, to chyba nie był najlepszy pomysł. No ale nic. Mamy psa, który za pół roku będzie zapylał na snowboardzie i wracamy do domu z wakacji...



Sprzedawała baba auto...

Moi mili, pewnie znacie to z autopsji i wiecie rzecz oczywistą, że od baby się nie kupuje. No bo przecież lepiej kupić po księdzu, lekarzu (ze szczególnym uwzględnieniem ginekologa), aptekarzu a najlepiej to kupić po dziadku z Wehrmachtu. No, ewentualnie od jakiegoś Holendra, choć tutaj może powstać problem spalania. Zupełnie nie wiem natomiast, dlaczego dyskryminuje się w tej kwestii naszych rodzimych dziadków, bo przecież oni tylko do kościoła i na działkę. No i nasi w ofercie mają do zaoferowania więcej modeli, niżli tylko przechodzone egzemplarze reprezentujące owiany legendą mit niemieckiej motoryzacji z dziewiątej dekady ubiegłego stulecia. Normalnie same pewniaki, ale i tak wszystko wymięka w zderzeniu z rzeczywistością, w sytuacji, w której sprzedaje kobieta. Biedaczka prawie od razu, przez sam fakt bycia reprezentantką płci pięknej, zostaje postawiona na straconej pozycji. Dlaczego? Bo biedna nie umie, bo niemota nie wie, bo na garach tylko się zna a na motoryzacji – za grosz, bo sierota jakaś, co to na bank sprzęgła do końca wcisnąć nie potrafi i owo na bank niedługo się spali, o ile już się nie spaliło i tak dalej...

Niedawno na forum motoryzacyjnym zapoznałam się z burzliwym wątkiem, w którym, w tejże materii, udzielali się sami fachowcy. Wzajemnie się zapewniali, że auto po babie zawsze ma zarysowania w okolicy klamki od strony kierowcy, bo to od tipsów (sic!) (ewentualnie od pierścionków). Hmm, ciekawa teoria.

Ja nie wiem co to za cymbały, jeden z drugim, że nie wiedzą jak drogie są tipsy i jak bardzo trzeba na nie uważać!? A jak boli taki tips, gdy się go nadłamię o klamkę!? To już kaplica

i cymbał, jeden z drugim, pewnie od takiego bólu by zszedł z tego łez padołu. Być może Edward Nożycoręki mógłby coś na ten temat szepnąć oraz lakier obok klamki zarysować, ale dajmy spokój. Zatem, kupując auto po babie, żeby się upewnić czy aby na pewno nie kłamie, sugeruję sprawdzić multum rysek i otarć w okolicy bagażnika. W końcu przewieźć w ciągu kilku lat kilkadziesiąt ton zakupów, a do tego różne wózki, chodziki, nosidełka, kojce, hulajnogi, rowerki, rolki i resztę, to nie byle co. Ha!

Moje Drogie Panie Kierowniczkii, jeśli planujecie wystawić wasze cudo na aukcji w internecie, poniżej, specjalnie dla Was, jest gotowa formułka do wklejenia do opisu aukcji. U mnie zadziałała, więc może zadziała i u Was 😊

„ Szanowny Kliencie. Bardzo zachęcam do kupna i od razu uprzedzam, że sprzedaje kobieta, co wcale nie oznacza, że pójdzie łatwo. Co najważniejsze, cena nie podlega negocjacjom, więc proszę mi tu nie marudzić, że „coś tam” i głowy nie zawracać, bo jestem osobą zajęętą i dla melepetów gawędziarzy, co to im się wydaje, że się znają na samochodach, nie mam czasu. Argumentu, że sprzedaje baba absolutnie nie biorę pod uwagę, bo dzieci zawsze obowiązywał zakaz wszelkiej konsumpcji na terenie pojazdu, a widziałam na własne oczy tyle upapranych aut po facetach, że nie zliczę. Szczególnie brudne miał ginekolog mojej szwagierki, a i proboszcz z parafii mojej teściowej również pedanterią nie grzeszył. Znam własne auto lepiej niż własne dziecko, więc jedyną sytuacją, w której dopuszczam możliwość negocjacji, to taka, kiedy kupujący znajdzie w aucie coś, co zataiłam w opisie. Niemniej uprzedzam lojalnie, że przy ostatnim samochodzie klient szukał dwa tygodnie i niczego nie znalazł. W rodzinie, samochodami od zawsze zajmuję się ja, nieco się na nich znam i jest to fyfnaste auto, jakie sprzedaję, więc uprzedzam, że nie łyknę żadnego kitu od pseudo fachowca z chińskim miernikiem grubości lakieru z sąsiedniej aukcji.

Nie mam nic do ukrycia i chętnie udostępnię samochód do oględzin w dowolnym warsztacie w mojej okolicy. U mechanika, blacharza, nawet u jasnowidza i różdżkarza. Oczywiście koszty oględzin ponosi klient. Na życzenie numer VIN.

Przepraszam, że na foto auto jest trochę brudne, ale obiecuję, że do sprzedaży będzie cacy.

Mycia silnika nie praktykuję, więc pod maską będzie normalnie i proszę liczyć się z tym, że przy sprzedaży mogę płakać. Zapraszam."

Opowiadanie "Po drugiej stronie szyby" cz. 3

Wyjrzałem ostrożnie zza liści i badałem dno. Wyczuwałem jakąś nieuchwytną zmianę w otoczeniu i dopiero po chwili zorientowałem się, że w przedpokoju zapaliło się światło. Moja żona wróciła. Rzuciłem się w stronę mojej wypisanej czarnymi kamyczkami wiadomości. Zniknęła! Zostały po niej wyłącznie żałosne sterty żwiru. Za moimi plecami rozległ się szyderczy rechot, więc odwróciłem się gwałtownie i stanąłem oko w oko z tym porąbanym skorupiakiem. Nienawiść stłumiła racjonalne myślenie, nawet się nie zdziwiłem, że rak potrafi się śmiać i do tego złośliwie.

– Zabiję cię! – wrzasnąłem i, nie zważając na zdecydowanie większe gabaryty przeciwnika, ostro natarłem.

– Chciałbym to widzieć – odezwał się rak zblazowanym głosem.

Zdumienie osadziło mnie w miejscu. Przełknąłem siebie w roli

gupika, zaakceptowałem hrabiego muchę, ale gadający rak? Mój rak? Ten sam, za którego zapłaciłem 150 złotych w sklepie akwarystycznym? Wtedy właśnie zrozumiałem, że to wszystko mi się śni i za Boga nie mogę się obudzić. Paradoksalnie, z punktu poprawił mi się nastrój. W końcu skoro to wszystko nie dzieje się naprawdę, to nic mi nie grozi.

– Od kiedy to skorupiaki potrafią gadać? A jeśli potrafią gadać, to może niech taki jeden idiota odpowie mi łaskawie, co mu przeszkadzał mój napis na piasku? – zapytałem wobec tego agresywnie i bez cienia strachu w głosie.

– Siedzę w tym tak samo jak ty, baranie – skomentował, niezupełnie odpowiadając na zadane pytania. – Tylko, że ty możesz się stąd wyrwać, a ja nie mam szans! To se razem posiedzimy – zarechotał.

Porażony absurdem sytuacji parsknąłem śmiechem a z moich rybich ust posypały się perlister bąbelki. Do boku łasiła się samica, naprzeciw mnie stał rak i właśnie ogłaszał, że także jest ofiarą inwersji bez szans na powrót do własnego ciała, a do tego rybia brać właśnie wzmogła kotłowanie w okolicach uchylonej pokrywy. Do kuchni weszła moja żona i pochyliła się zaglądając do wnętrza akwarium. Przez chwilę patrzyła uważnie a potem sypnęła do środka szczyptę pokarmu. Gupiki zwariowały.

– Jesteś tu? – zapytała moja żona.

Zdębiałem i podpłynąłem do samej szyby a wraz ze mną cała banda ryb. Nie dało się ich odgonić. Niczym się od nich nie odróżniałem. Chciałem dać żonie jakiś znak, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Chyba kompletnie zwariowałam – powiedziała, gasząc jednocześnie światło w moim więzieniu.

Po raz pierwszy od chwili gdy tu utknąłem wodę spowił mrok. Kompletnie zdezorientowany tłukłem się pomiędzy roślinkami, po omacku próbując trafić do swojej kryjówki.

– Nie chcesz wiedzieć kim jestem? – głos dobiegł z niebezpiecznie małej odległości.

Wzmogłem czujność i nie zaryzykowałem odpowiedzi. Po cichu wycofałem się pod pierwsze zarośla, o jakie otarł się mój ogon.

– Wiem gdzie jesteś, przede mną się nie ukryjesz – rak ewidentnie się nudził.

Kuźwa, czym ja sobie zasłużyłem na to wszystko? Jakby wszystkiego było mało, mój prześladowca widzi w ciemnościach, podczas gdy ja jestem ślepy jak kret?

– Otóż musisz wiedzieć, że jestem ważnym politykiem i swoją obecną postać zawdzięczam niefortunnemu spotkaniu podczas próby zjedzenia obiadu.

Nawet najłżejszym szmerem nie zdradzałem swojej lokalizacji. Wzmianka o polityku dodatkowo wzmogła moją czujność.

– To było w Tajlandii. Podszedł do stolika taki jeden kitajec, czy jak mu tam i zaciągnął mnie do akwarium. Przykucnąłem, zajrzałem i po chwili siedziałem już w środku. A moje ciało padło jak długie, zresztą dokładnie wiesz jak jest, więc co ci będę gadał. Co z nim dalej zrobili, to już nie wiem. Ja natomiast uratowałem się cudem. Pewnie skończyłbym na kupce ryżu, ale następnego dnia do knajpy przyszła grupa nawiedzonych akwarystów, takich łowców gatunków. Ich także kelner cholerny powiódł przed szybę i wtedy jeden z nich wskazał na mnie palcem i zaczął gorączkowo coś tam gadać. Chyba po angielsku gadał, bo nic nie rozumiałem, ale przeżegnałem się szczypcami, bo poczułem, że mój czas się kończy i zaraz wyląduję we wrzątku. Szczęście się jednak do mnie uśmiechnęło. Zapakowali mnie w foliowy worek i wręczyli temu gościowi. Ten sprzedał mnie innemu kolesiovi i dalej już poszło. W końcu trafiłem do akwarystycznego w którym mnie kupiłeś.

Na swoje nieszczęście najwyraźniej, pomyślałem i bezszelestnie odpłynąłem głębiej, do samego systemu korzeniowego rośliny.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest moje ciało. Pewnie zostało w Tajlandii – głos raka przeszył nocną ciszę akwarium.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem przy korzeniu i nasłuchiwałem. Cisza, której tłem był kojący szmer brzęczyka podziałała usypiająco nie tylko na mojego prześladowcę. Odpłynąłem i śniłem.

Wstałem z fotela i przeciągnąłem się. Żona, zwinięta w kłębek na kanapie oglądała jakieś pierdoły w telewizji. Miałem na dzisiaj dość komputera. Poszedłem do kuchni po piwo.

– Nakarm ryby, dobrze? – zawołała żona z pokoju.

Otworzyłem butelkę i postawiłem ją na kuchennym blacie. Z szafki wyjąłem opakowanie wybitnie śmierdzącego żarcia dla ryb. Wsypałem odrobinę do akwarium i usiadłem na stołku. Lubiłem podglądać wodne życie zamknięte w szklanym więzieniu.

Pomiędzy gupiki wpadł rak, cholerny pasożyt i destruktor. Ryby rozpierzchły się na boki, ale jeden młody samiec nie zdążył. Niebieski skorupiak chwycił go szczypcami a ryba wiła się rozpaczliwie. Słuszny gniew we mnie zagrał i wsadziłem rękę do wody. Bacznie śledząc sytuację w akwarium manewrowałem dłonią, by uchwycić cholernika. Gdy w końcu go unieruchomiłem, ten wyciągnął w stronę szyby wijącą się rybę. W jej oczach widać było strach i cierpienie.

Koszmar ma to do siebie, że kończy się gwałtownym przebudzeniem. Wzdrygnąłem się i zassałem ogromną masę wody w próbie krzyku. Właściwie dobrze się stało, że z moich rybich ust nie wydarł się żaden dźwięk, bo dzięki temu uchwyciłem strzęp wielce interesującego dialogu.

– Wczoraj mu powiedziałem, chyba mocno nim wstrząsnęło – szeptał rak.

– Czyli wszystko przebiega według planu? – zabzyczał dyskretnie Bogdan.

– Zgadza się.

– Mam nadzieję. Ściągnięcie go do środka zajęło nam dwa tygodnie. Nie wiem jak ty, ale ja czuję, że mucha nie dożyje jesieni. Kończy mi się czas.

– Rak chyba też młody nie jest, a do tego żona gupika ma teraz inne sprawy na głowie i nie czyści filtrów.

– Nie narzekaj, dobrze? To jest element planu, jakoś to przeżyjesz. Chłoptaş jest już nasz. Dobrze, że ten napis mu zniszczyłeś.

– No a co miałem zrobić? Nie może uciec za wcześnie. Najpierw musimy mu pokazać, że bez nas nie da rady uciec.

– Trzymaj rękę na pulsie. Ja wrócę koło południa. – zabzyczał mucha i odleciał.

Moje myśli galopowały. W niepojęty dla mnie sposób te dwa sukinsyny obserwowały mnie przez ostatnie tygodnie i uknuły dziwaczny spisek. Mamy być ich sposobem na ratunek. Musiałem robić dobrą minę do złej gry. Jeśli będę spektakularnie naiwny, wówczas kochani koledzy uczynią wszystko żebym uciekł. Oczywiście w nadziei, że z wdzięczności odnajdę ich ciała. Gwoli ścisłości gazety czytam regularnie i wiem, że ciało polityka sprowadzono do kraju. To jednak był ten wycinek wiedzy, którym zdecydowanie nie zamierzałem się dzielić ani ze skorupiakiem, ani ze zdradzieckim muchą. Podejmując decyzję wypłynąłem spomiędzy liści. Rzut oka na lekko rozmyty z tej perspektywy ścienny kalendarz wskazywał, że właśnie w bólach szarego świtu rodziła się sobota. Żona z pewnością spała. Rozkosznie zaróżowiona, zakopana w satynę kołdry. To dawało mi czas na działanie.

– Ej! – krzyknąłem w stronę jaskini skorupiaka.

– Czego? – odpowiedział, nieudolnie symulując głos wyrwanego ze snu niewinnego raka.

– Słuchaj, może jakoś sobie pomożemy?

Rak wyszedł przed chałupę i rozpostarł imponujące cielsko na piasku. Jego wąsy, dłuższe niż cały odwłok nieprzerwanie skanowały dno.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Znajdę twoje ciało, tylko pomóż mi stąd wyjść – wypaliłem.

Durny polityk najwyraźniej właśnie na to czekał.

– Wiesz kim jestem? – zapytał.

– No pewnie, w mediach podawali relacje z wyjazdu posła z ramienia ...

– Dobra, dobra. Cicho – wrzasnął rak. – Sprawdzisz wszystko w googlach, tak?

– Wszystkiego się dowiem, nie przejmuj się. Jest tu jeszcze taka mucha ... – zawiesiłem wyczekująco głos.

– Mucha? Jaka mucha? – zapytał niewinnie polityk w chitynowym pancerzyku.

– No hrabia Bogdan, też zamieniony, tyle że w muchę. Musiałeś słyszeć nasze rozmowy – wyjaśniłem chytrze.

– A coś tam bzycało, ale nie mam w zwyczaju podsłuchiwania, więc wybacz ...

Jasne, pomyślałem. Nie masz w zwyczaju tak jak ta cała twoja partia. A nie nagrywałeś tylko dlatego, że nie miałeś na czym.

– No tak – odparłem. – To może zreferuję w skrócie przebieg naszych rozmów. Hrabia Bogdan tkwi w ciele muchy już ponad miesiąc i niefortunnie nie ma pojęcia, gdzie zostało ulokowane

jego własne ciało. Odkrył sposób jak odwrócić inwersję i ...

– Inwersję? – wtrącił obłudnie rak.

– Inwersja to zamiana tożsamości – starałem się zachować neutralny ton. – Dlatego tu jesteśmy, ale jeśli będziemy współpracować, to wydostaniemy się z tego wszyscy trzej.

– Skąd to przekonanie? – polityk podsunął sobie do otworu gębowego świeżutki liść mojego bezcennego anubiasa i zaczął go beznamiętnie przeżuwać.

– Ponieważ jako jedyny wiem, gdzie jest moje ciało, prawda? Wystarczy skomunikować się z moją żoną, ale jeśli będziesz psuł moje wiadomości, to raczej nic z tego nie wyjdzie! – odparłem z mocą.

– Bracie! – wrzasnął z entuzjazmem rak – Pomożemy!

Czując się jak na wiecu partii uśmiechnąłem się krzywo i wróciłem do konstruowania napisu. Po chwili na piasek wytoczył się fałszywy skorupiak i zaczął popychać na środek czarne kamyczki. Praca zajęła nam mniej więcej dwie godziny, ale efekt był imponujący. HELP było jeszcze wyraźniejsze, ułożone z podwójnego rzędu kamyków. Żona musiała to zauważyć.

Z rozgłośnym bzczeniem nadciągnął hrabia i przysiadł na skraju pokrywy.

– Ach przyjacielu, cóż moje oczy widzą! – eksplodował egzaltacją.

– Witamy! – odparłem, uzbrajając się w czujność.

– Powinszować napisu.

– Nie tylko moja w tym zasługa. Proszę pozwolić, że przedstawię pana Stanisława..

– Uszanowanie! – wtrącił się rak.

- Pan Stanisław, poseł z ... – z całych sił grałem głupka.
- Niezmiernie jestem rad z tej znajomości! – znów wciął się polityk.
- Ja również i pozwolę sobie wyrazić swoją radość widząc panów poczynania. – zabrzączał Bogdan.
- Myślę, że to powinno zadziałać i wkrótce wszyscy trzej znajdziemy się w zupełnie innych okolicznościach – skorupiak akcentując słowo „zupełnie” najwyraźniej sugerował zgrabną akcję korupcyjną.
- Ja ze swojej strony z pewnością nie omieszkam panów ugościć w naszych rodzinnych stronach! – Bogdan oczami wyobraźni już dekorował sale pałacu kolorami partii.
- Myślę, że moja żona zrozumie napis, ale nie będzie wiedziała co z tym fantem zrobić. Potrzebne będą dalsze informacje. Czy macie panowie jakieś pomysły? – zapytałem.
- Drogi przyjacielu! Jeśli to nie pomoże, to wypiszemy instrukcje cukrem na kuchennym blacie, albo ponownie ułożymy informacje na piasku. Damy radę. – uspokajająco zaszemrał hrabia.
- Przyjaciele! – zaczął uroczyście rak i momentalnie umilkł.

Do kuchni weszła żona. Mucha pospiesznie umknął a rak wycofał się za kamienie. Gupiki, kompletnie nieświadome dramatyzmu sytuacji, chmarą wypłynęły spomiędzy krzaków w nadziei na sesję karmienia. Moja kobieta włączyła światło w akwarium i zamarła. Jej usta bezgłośnie się poruszały. Bez trudu wyczytałem swoje imię. Żona próbowała przeniknąć wzrokiem wewnątrz i mnie namierzyć. Po chwili poddała się z westchnieniem zawodu i nasypała szczodłą porcję żarcia. Wyszła, gasząc uprzednio światło. Gdybym miał się zakładać, to powiedziałbym, że pojechała do szpitala. Miałem nadzieję, że po moje ciało.

...

– Więc może ktoś w końcu mi powie, jakie są rokowania? – wycedziła żona Krzysztofa z całych sił powstrzymując krzyk.

Lekarz, student właściwie, taki młody dupek, któremu już zdołano wszczepić rozbuchaną godność osobistą w miejsce wiedzy, wzruszył arogancko ramionami. Gwoli ścisłości, spędził cały dzień na kuciu łacińskich cytatów, bez których nie da się parzyć kawy docentom. W efekcie nie widział żadnego pacjenta, a już z pewnością faceta o którego pytała kobieta.

– Rokowania są pomyślne! – zełgał na poczekaniu.

– Czyli?

Ze skrzypieniem przedwojennych łożysk środkiem korytarza przetoczył się wózek kuchenny. Porcje parówek, oblepione nabytym w niedogrzanym korytarzu tłuszczem, łypały filuternie.

Kobieta, przełykając dzielnie kompletny absurd podawania zapakowanej w podłużne folijki siekanki ściągien, oczu i mózgow osobom na ścisłej diecie, zmiażdżyła pogardliwym spojrzeniem gówniarza w szarawym kitlu. Gnój nadawał się do pożarcia i zjadliwej notki w Fakcie, ale paradoksalnie miał głos decyzyjny w sprawach życia i śmierci. Zwłaszcza tego drugiego. To sprawiło, że zmusiła twarz do przybrania wyrazu łagodnej zadumy i oczy do cielecego spojrzenia, które miało zasygnalizować durniowi, że jest boski, mądry i wspaniały, a mała kobietka niczego nie rozumieć i kochać mądry pan doktor z młodzieńczym trądzikiem.

– Czy męża można teraz odwiedzić? – zapytała aksamitnym głosem.

– Nie widzę przeciwwskazań – zagulgotał, choć nie miał pojęcia o kim mowa. Jak mu starsi koledzy tłumaczyli, fakt opieki nad oddziałem to sprawa umowna, a pacjentów świetnie doglądają pielęgniarki.

Żona Krzysztofa bez słowa wyminęła młodego debila, który wkrótce będzie debilem w średnim wieku a jedyną różnicą między nimi będzie tytuł naukowy tego drugiego. Korytarz był obstawiony łózkami z chorymi, którzy usiłowali skrywać dolegliwości pod przykrótkimi kołdrami – jedynym gwarantowanym przez szpital narzędziem dyskrecji. Pogodzeni z losem, co jest eleganckim określeniem umierających, pacjenci mimowolnie obserwowali kobietę. Ostatni dowód na istnienie prawdziwego życia poza murami umieralni.

Krzysztof leżał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała go poprzednio. Pogłaskała go po policzku. Mężczyzna zatrzepotał dłońmi i na chwilę otworzył niewidzące oczy.

...

Co chwilę zerkałem, w nadziei, że zauważę jakiś ruch w kuchni, ale nic się nie działo.

Rak wylazł i usadowił się na środku kamienia. Nie komentował, żarł liście anubiasa i od niechcienia popychał czarne kamyczki w literze H.

Milczeliśmy, choć każdy z innego powodu.

...

Ukraść wózek i dźwignąć Krzysztofa to była bułka z masłem. Przejście przez korytarz i próba przedostania się do windy też nie była tak wielkim problemem. Nawet dotarcie poza teren szpitala po wyszczerbionym podjeździe dla inwalidów było wykonalne. Zamówienie stosownej taksówki dla osób niepełnosprawnych już nie.

Po kilkunastu nieudanych próbach, żona Krzysztofa zdarła z siebie płaszcz i troskliwie owinęła nim ciało. Po czym z wysiłkiem pchnęła wózek w górę ulicy.

...

Zawsze ufałem w zdrowy rozsądek mojej żony i jej racjonalne spojrzenie na świat. Byłem pewien, że zrozumiała i próbuje mnie uratować.

– Panie Hrabio – zagaiłem, próbując zyskać na czasie. – Zechce mi Pan opowiedzieć co nieco o losach pańskiej szlacheckiej rodziny?

Wiedziałem, że taki haczyk nadęty mucha z pewnością łyknie.

– Ach, doprawdy niezmiernie jestem zaszczycony, że Pan o moją szlachecką rodzinę się dopytuje. Otóż w XII wieku nasz protoplasta Sebastian, w swej umysłu przenikliwości żupnikiem będąc ...

Bla bla bla, pomyślałem bez grama szacunku dla protoplasty Sebastiana i niecierpliwie zerknąłem do kuchni. Gdzieś tam, na granicy słyszalności rejestrowałem kolejne perypetie krewniaków Bogdana. Mucha wyraźnie się rozkręcił i właśnie dochodził do połowy XVIII wieku. Rak trwał nieporuszony na kamieniu.

Do kuchni zakradło się światło z przedpokoju.

...

Wtłoczenie wózka do mieszkania nie było skomplikowane. Problem tkwił w kuchennych futrynach, za wąskich, by swobodnie przetoczyć staromodny wózek przez próg. Krzysztof był zbyt ciężki, by wnieść go do kuchni, więc kobieta wyjęła ze schowka dłuto, dzięki któremu zawsze przycinali na odpowiednią grubość pień choinki. Z determinacją godną słusznej sprawy przerabiała na drzazgi odporne drewno przez dobrą godzinę.

...

Hałas odłupywanych futryn był ogłuszający. W wodzie głos roznosi się zupełnie inaczej, a gwałtowne dźwięki sprawiają ból. Siedzący na brzegu pokrywy Bogdan zupełnie tego nie dostrzegał i w swoich opowieściach właśnie docierał do połowy

XIX wieku.

Czekałem.

...

Przepchnięcie wózka przez żalosne wspomnienie eleganckich futryn okazało się proste i po chwili wózek znalazł się przed akwariem. Ryby jak zwykle zleciały się w nadziei na żarcie. Kobieta podeszła i chwyciwszy ciało męża za włosy nakierowała jego zamknięte oczy na zbiornik.

...

Odgoniłem samice i podpłynąłem do szyby. Wraz ze mną kotłowało się kilku innych samców, ale tym razem miałem pewność, że uda mi się wyróżnić. Trzymałem w pysku odgryziony przez posła Stanisława liść anubiasa.

Musiała mnie poznać.

...

Jedna z ryb zaczęła wariować. Podpłynęła z liściem w pysku. Zataczała się pod jej ciężarem kręcąc w okolicach filtra dziwaczne młynki. Krzysztof.

...

Za szkłem żona strzeliła moje ciało z całej siły w pysk. Oczy ciała otworzyły się w nagłym szoku i wpiły się w szybę wyrażając bezmierne zdumienie. Schwyciłem spojrzenie i, z miażdżącym wolę życia przerażającym dźwiękiem, poszybowałem w chwilowy niebyt.

...

Powrót do ciała okazał się bolesnym doznaniem. Ciężenie sprawiło, że załkałem z tęsknoty za wodą, kończyny nie chciały mnie słuchać a do tego w całym ciele czułem ból odleżyn. Niczego nie rozumiałem. Łacińskie źródła hrabiego nie kłamały.

Dopadła mnie czasowa amnezja.

– Jak się czujesz? – zapytała troskliwie żona niecierpliwie odganiając muchę.

Skinąłem głową, starając się włożyć w gest maksimum entuzjazmu.

– To dobrze kochanie – powiedziała. – Jezu, jak mnie ta mucha wkurwia! – Moja ukochana chwyciła gazetę i pacnęła od serca owada.

Dopiero kilka tygodni później przypomniałem sobie, że ową muchą był Bogdan ale pewności nie miałem, podobnie, jak nigdy bym się nie przyznał, że byłem gupikiem. Wkrótce odzyskałem władzę w rękach i w nogach.

Akwarium z gupikami żona oddała sąsiadowi, ale ten całkiem głupi nie był i stanowczo odmówił przyjęcia raka. Kiedyś, dawno temu dostałem w prezencie na urodziny małe akwarium wyposażone w filtr i światło. Taki zestaw dla debila i policzek dla profesjonalnego akwarysty. Zapakowałem tam skorupiaka. Zbiorniczek ulokowałem naprzeciw telewizora, który z upodobaniem nastawiam na debaty wyborcze. Niech i poseł Stanisław ma coś od życia.

Zrozum rozum ;)

Mózg to przedziwny organ. Każdy z Was, zapytany o jego definicję, z pewnością powie, że mózg jest niezbędny a jego użyteczności nie da się przecenić. No i jeszcze, że jest czynny całą dobę jak Tesco oraz bez chwili przerwy SŁUŻY

organizmowi człowieka. Totalny błąd! To my służyliśmy naszym mózgom, co zaraz Wam udowodnię.

Jest, na przykład, człowiek na diecie i bohaterstwo walczy z kilogramami. A co na to mózg?

Weź ciasteczko. No weź. Są w dolnej szufladzie. No nikt przecież nie zauważy!

Wybiera młoda dziewczyna chłopaka, a mózg co?

Co z tego, że ten miły i taki ułożony? Tamten łobuz wprowadzie, ale jaki czarujący!

Podchodzi konsument do półki sklepowej i bierze z niej małą torebeczkę. A mózg:

Co z tego, że tam jest napisane „Cukier wanilinowy”. Pozwól, że do końca życia będę ci wyświetlał napis „Cukier waniliowy”.

Namiętny palacz wsiada do samolotu.

Wiem, że zwykle wytrzymujesz pół dnia bez fajka, ale dzisiaj tak zmanipuluję twoje neurony, że za dziesięć minut oszalejesz z głodu nikotynowego.

Zrobił człowiek siusiu i na luzie wychodzi z domu.

Ojej, nigdzie w promieniu kilometra nie ma toalety? Pozwól, że wyślę do twojego pęcherza nowe koordynaty.

Masz dzisiaj ważne wystąpienie i musisz wypaść perfekcyjnie?

Powodzenia! Wysyłam mojego tajnego agenta. Agent Stres zawiaduje drżeniem rąk i głosu. Pomoże ci.

I tak dalej, i tak dalej.

Skoro zostało udowodnione, że mózg jest naszym wrogiem, to należy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy można z nim walczyć? Oczywiście, że nie można, bo ten drań rządzi nami

niepodzielnie. Cóż więc robić?

Na szczęście jest rozwiązanie.

Skoro wygrać się nie da, to należy przejść do jego obozu. W końcu opłaca się trzymać ze zwycięzcą, prawda? □

A wtedy dialogi będą wyglądały zupełnie inaczej.

Mózg mówi: *Chyba ciało tłuszczu nabrało?*

A Ty: Tak! Dowalmy mu mózgu! 1000 kalorii i siłownia! Niech ma skurczybyk za swoje!

Mózg na to: *Ale ono by chciało teraz pospać trochę dłużej.*

A Ty: O nie! Mowy nie ma! My mózgu musimy pracować, więc niech i ten obibok wstaje!

Przećwiczcie jutro rano. W końcu nieubłagalnie nadciąga poniedziałek □